



KATARZYNA

Bonda

GOTOWA NA
WSZYSTKO

Mimo tytułu ostatniej powieści, Czerwony pająk. Wszystko ma swój koniec, dla Katarzyny Bondy to dopiero początek wielkiej międzynarodowej kariery. To jej czas

ROZMAWIAŁA: JOANNA LONGAWA

Foto: Gosia Turczyńska

Według włoskiego filozofa Massimo Locatelliego najlepiej sprzedającym się gatunkiem literackim obecnych „czasów niepokoju” jest kryminał. Książki Katarzyny Bondy są tego przykładem. Autorka bestsellerowej tetralogii *Cztery żywioły Saszy Załuskiej* oraz serii *Hubert Meyer* – psycholog śledczy – tłumaczenia w 12 językach – jest za granicą jedną z najbardziej znanych polskich pisarek współczesnych oraz jedyną kobietą *noir* porównywaną talentem do skandynawskiego króla tego gatunku, Jo Nesbø. Niezrażona nieprzychylnością rodzimej krytyki literackiej, powieściopisarka nie przestaje wymykać się gatunkowym schematom. Jak twierdzi, jest gotowa na wszystko. Za tę odwagę i unikatowy styl tak bardzo kochają ją zarówno czytelnicy, jak i zagraniczna prasa.

Za granicą jesteś nazywana „żeńskim Jo Nesbø ze Wschodu”. Nesbø to chyba najbardziej znany pisarz kryminalny naszych czasów. Podoba ci się takie porównanie? Oczywiście schlebiają mi wszystkie porównania do uznanych na całym świecie autorów bestsellerowych powieści, ale obawiam się, że mogą one wprowadzać czytelnika w błąd. Moje książki to nie kryminały, choć fabuła zbudowana jest na ogólnym pomysle dramaturgicznym tego gatunku. Mnie w literaturze interesuje nie sama zbrodnia, brutalizm, czy nawet nie motyw, lecz ludzki los, sprawy ostateczne, historia. Liczę, że kiedyś dożyję tych czasów, że zagraniczni wydawcy nie będą już potrzebowali takich dźwigni marketingowych i wystarczy moje nazwisko jako gwarant jakości książki. Wolę być po prostu Bondą, a nie „wschodnim Nesbø”, choć samego autora bardzo szanuję, cenię i czytam z przyjemnością.

W twoich książkach rzeczywiście można znaleźć kilka podobieństw do prozy norweskiego autora. Czy sugerowałaś się postacią samotnika Harry'ego Hole'a przy tworzeniu postaci Saszy Załuskiej?

Kiedy wymyślałam serię o Saszy jeszcze nie czytałam książek Jo Nesbø. Myślę, że to akurat dobrze. Skoro są podobieństwa to także można je znaleźć u Chandlera, Solaresa, Knoxa i Lehane'a, a nawet w *True detective* Nica Pizzolatto włącznie. Ten motyw występuje również u Faulknera i Marqueza, a nikt ich nie rozlicza z podobieństw. Prawda jest taka, że postać, która ma swoje demony, kłopoty, nałogi i jest aspołeczna, to najciekawsza postać zarówno do pracy dla autora, jak i z perspektywy czytelnika. Kiedy wszystko idzie pięknie i szczęśliwie, nie ma o czym pisać. O tym są właśnie książki – o przejściu jakiejś drogi, pokonaniu przeszkód, zbudowaniu siebie na nowo. Po to czytelnik bierze je do ręki i nie ma znaczenia, czy to jest powieść kryminalna, czy rodzaj sagi rodzinnej jak u Nathana Hilla, Jeffrey'ego Eugenidesa czy Donny Tartt. Ci autorzy są mi bliżsi w patrzeniu na świat niż jakikolwiek „kryminalista” literacki.

Brytyjski *Independent* poświęcił artykuł polskim autorom *noir*, gdzie obok Zygmunta Miłoszewskiego i Mariusza Czubaja wymienił twoje nazwisko. Włoskie gazety *Donna Moderna* i *La Repubblica* poleciły *Pochłaniacza* na wakacje.

Spodziewałaś się takiego międzynarodowego sukcesu?

Kiedy na targi książki w Warszawie przybyła brytyjska agentka, która mnie obecnie reprezentuje, byłam już pogodzona ze swoim losem, i z faktem, że nie mam szans na międzynarodowy sukces. Cała branża, ludzie, którzy się podobno na tym znają, twierdzili, że piszę za grube książki, wymykam się stereotypom, jestem niegatunkowa i za mało u mnie kryminału w kryminale. Uznałam więc, że mają rację. Miałam swoich czytelników, polska widownia mnie rozpieszczała, zdecydowałam się skupić na rodzimym rynku; piszę wszak przede wszystkim dla Polaków, bo jestem

Polką. Jak to w życiu bywa, kiedy się w końcu szczerze odpuści, przychodzi spełnienie. Sama nauczyłam się już nie oczekiwać niczego, ale być gotowa na wszystko. Sandra sprzedała prawa do tłumaczenia moich książek do największych wydawnictw na świecie – Random House, Hachette, Hodder & Stoughton. Na tę chwilę jest zakontraktowanych 12 krajów, a brytyjskie wydanie wychodzi dopiero w przyszłym roku. Okazało się, że moja inność jest

najcenniejsza. To, za co mnie w Polsce krytycy odsądzały od czci i wiary, stało się moim największym atutem. W Niemczech moje zdjęcie z okładką wydania niemieckiego *Pochłaniacza* ukazało się na okładce prestiżowego magazynu o książkach *Buchaktuel*, a jedna recenzja wyniosła mnie na szczyt listy bestsellerów. Czy myślisz, że to pomogło mi na rodzimym rynku? Wręcz przeciwnie, zamiast wsparcia, dostawałam od krytyków większe ciągi, że taka Bonda się sprzedaje, a przecież ona nawet nie pisze kryminałów. Odebrano mi wszelkie dotacje na tłumaczenia. Najgorszą rzeczą jaką można u nas uczynić, to odnieść sukces. Zamiast potraktować to jako zachętę, współpracować, stworzyć rodzaj „kolekcji kryminalnej”, zakontraktować na fali mojego sukcesu innych polskich, świetnych autorów – co wspaniale wykorzystali Skandynawowie – ja i moje pisanie jesteśmy analizowani. Przykro mi z tego powodu, bo takie szanse nie zdarzają się często.

Lubisz spotykać swoich czytelników, czy takie spotkania raczej onieśmielają?

Nieustannie mnie onieśmielają. Jakbym nie do końca uwierzyła w ten cały sukces. Nie mam w sobie ani krzty pychy, wciąż podchodzę do tego z pokorą. Wiem, że wszystko może się odwrócić, cała ta sława, blichtr i sukcesy zależą tylko i wyłącznie od tego, co napiszę następnego. A zamierzam pisać do śmierci, żyć długo, więc nie grozi mi odbicie palmy. Mam wokół siebie ludzi, którzy wciąż mi przypominają o tym, gdzie jest moje miejsce (przy biurku), więc po prostu siadam do roboty i pracuję. Kłamałabym jednak gdybym twierdziła, że oznaki aprobaty czytelników nie sprawiają mi satysfakcji. Po to piszę, by ludziom dawać radość, rozrywkę i odrywać ich od codzienności. To moja rola. Istnieje, dopóki jestem czytana.

Jak doszło do tego, że zaczęłaś pisać? Skąd miłość do opisywania zbrodni?

Muszę przyznać, że nie tylko nie marzyłam o pisaniu powieści kryminalnych, ale nawet nie czytałam kryminałów.

Klasyczny kryminał mnie nudził, ale to się bardzo zmieniło. Dziś powieść kryminalna nie ma wiele wspólnego z klasykami: Christie, Chandlerem, czy Simenonem. Dlatego pewnie moje książki dziś stoją na półce z kryminałami, kiedyś byłaby to profanacja. Czytałam zawsze opasłe powieści, w których owszem były trupy, ale chodziło nie tylko o to, kto zabił, lecz o genezę zła i walki z nim sił dobra. To w gruncie rzeczy znajduje się w każdej dobrej powieści. Pisanie książek kryminalnych to wieloetapowa praca. Każdy może mieć pomysł na fabułę, ale tutaj ważniejsze jest wykonanie. Kryminał to tak naprawdę popis nie tyle maestrii słowa, co rzemiosła autora. Dokumentacja to moja ulubiona rozrywka przed etapem pisania. Konsultuję nie tylko dialogi, elementy kryminalistyczne, ale także życiorysy postaci. Odwiedzam miejsca, w których dzieje się akcja. Wszystkiego, o czym czytelnicy czytają w moich powieściach osobiście dotknęłam, zbadalam, znalazłam w aktach prawdziwych spraw kryminalnych oraz potwierdziłam ich prawdopodobieństwo u ekspertów. Proces zapisu – przy takim bagażu doświadczeń, faktów i prawdziwych spraw – jest czystą przyjemnością. Mogę się wtedy skupić na języku, narracji, dopieszczać dialogi. Nie miotam się po omacku w fabule. To ważne, żeby pisarz wiedział jaki ma azymut, by wiedział, co chce opowiedzieć.

Jak to w życiu bywa, kiedy się w końcu szczerze odpuści, przychodzi spełnienie. Sama nauczyłam się już nie oczekiwać niczego, ale być gotowa na wszystko

że sytuacje, w które wpadamy, ludzie, których spotykamy i zdarzenia, które następują po sobie są „mądrzejsze” niż my sami. Trzeba być jedynie czujnym i dostrzegać te połączenia. A wtedy wszystko się spełnia, zdarza się i domyka. Te zasady dotyczą życia i pisania. Reszta jest warsztatem. Można się tego uczyć, a nawet trzeba! Kiedy zaczynałam w Polsce mówić o tym, że pisanie można się uczyć, zbierałam ostre ciągi od „ortodoksów” wierzących głównie w inspirację i iskrę bożą. Słyszałam, że to pomyłka, że jestem bałwochwalczą, że nie mam wstydu szerząc takie herezje. Zrzucano to na karb mojego wieku (wtedy uchodziłam jeszcze za młodą) lub blond włosów (choć są farbowane). Okazuje się, po latach, że w przypadku niektórych, nie tylko moim – rzemieślniczkim – szkolenie przyniosło efekt. Nie twierdę, że to działa w przypadku prozy autorskiej, a tym bardziej poetyckiej, bo do tego trzeba mieć dar. Ja jednak takim rodzajem literatury się nie zajmuję. Mówimy bowiem teraz o powieściach sensacyjnych, które na całym świecie opierają się przede wszystkim na solidnym warsztacie. Pieczęć autorska jest na drugim miejscu – nieodzowna, ale też i do tego się dojrzewa.

Tvoja praca magisterska *Kobiety morderczynie w wybranych publikacjach prasowych* była, jeśli można tak powiedzieć, wstępną wersją publikacji *Polskie morderczynie*. Dlaczego poświęciłaś polskim kryminalistkom tyle czasu?

Zbrodnia bierze się ze słabości, z tego, że człowiek nie radzi sobie z własnym życiem. Czasem są to sprawy prozaiczne, jak finanse, a czasem to samotność, brak rodziny lub korzeni, czy dobrego wzorca. Jestem przeciwniczką demonizowania zła jako siły. Nie podziwiam ich i nigdy nie fascynowali mnie seryjni zabójcy, postaci mitologizowane przez filmy klasy G. W matrycy psychologicznej tych ludzi jest błąd, który się multiplikuje, zaś to, co czynią, jest zwykle przekazaniem agresji, której sami doświadczyli. Każdy, kto dopuszcza się przestępstwa był kiedyś ofiarą przemocy fizycznej lub psychicznej. Ta książka była dla mnie przełomowa. To jednocześnie mój *background* – książka dokumentalna, której początek ma miejsce, kiedy zaczynałam jako sprawozdawczyni sądowa, gdzie mogłam wykorzystać cały swój warsztat dziennikarski, a z drugiej strony mogłam pokazać to, czego nie pozwala gazeta. Książka, która miała być offowa jest dziś pozycją kultową, a co dziwniejsze nie starzeje się, lecz jest jak wino. Dla mnie samej to wielkie zaskoczenie choć wiem, skąd bierze się jej fenomen. Po pierwsze nikt tego wcześniej nie zrobił – dopiero teraz naukowcy zaczynają w ten sposób badać zabójczy, a po drugie one pokazały twarze, otworzyły się przede mną. Nie wiem do dziś jak mi się to udało, ale pamiętam moją obsesję,



Foto: Gosia Turczyńska

by książkę skończyć. Było wiele przeszkód: nie miałam samochodu, borykałam się z kłopotami finansowymi i niezliczoną ilością kwestii formalnych, wreszcie ciąży. Nawet to mnie nie powstrzymało, by materiał zebrać, a potem książkę napisać. Każda z bohaterek autoryzowała swoją opowieść. Wydawca nie mógł zrozumieć, jak tego dokonałam. To było proste – patrzyłam na nie jak na ludzi, a nie zabójców. To doświadczenie było bezcenne. Widzę więcej niż inni, bo byłam po obu stronach barykady – rozmawiałam z policjantami, przestępcami i ofiarami. Każdy z tych elementów występuje w kryminale – potem mogłam się odważyć napisać kolejną powieść. W dawnym świecie naszych babć agresję przejawiali głównie mężczyźni (dlatego zbrodnie popełniane przez kobiety zdarzały się niezwykle rzadko), dziś się to zmieniło, kobiety są coraz silniejsze, wyemancypowane i działają „po męsku”. Jednak ich motywy są emocjonalne, bo taka jest nasza babska struktura psychiczna. Potem jednak chcą znów być „święte”, więc kłamią, zacierają ślady, chowają zwłoki, manipulują policjantami.

Powiedziałaś w radiowej Dwójce, że traktujesz opowieść jak potwora, którego trzeba pokonać, a pisanie jest procesem wyczerpującym i nieprzyjemnym. Mimo tego piszesz bardzo dużo. Co cię napędza do ciągłego pisania?

Szczerze? Nie mam pojęcia, nie czuję się na siłach wymądrzać w tak poważnych kwestiach. Widzisz, ja potrafię pisać wszę-

dzie. Pracowałam, kiedy było mi ciężko życiowo i kiedy byłam szczęśliwa. Stan prywatny mojego ducha wpływa rzecz jasna na opowieść, kłamałabym, gdybym powiedziała, że to nie ma znaczenia. Pisarz odbija się prywatnie w swoim dziele jak w lustrze. Dlatego tak ważny jest warsztat – to kotwica, która pozwala pokonać trudności związane z ludzkimi słabościami. Uważam, że to właśnie czyni pisarza zawodowcem – jeśli podejmuje wyzwanie i mimo przeszkód pokonuje tę drogę zapisu opowieści i tworzy coś, co nie jest wcale ekshibicyjną historyjką. Rzecz jest prosta – rytuały, posprzątane biurko i umiejętność oddzielenia się od rzeczywistości – to czyni nas pisarzami, a nie czekanie na natchnienie czy folgowanie swoim darom od losu. Ten rodzaj emocji przydaje się w miłości, w budowaniu związków, w dbaniu o ognisko domowe. Pisanie to praca. Taka sama jak każda inna. Rzeczy i zadania muszą być solidnie wykonane i nie ma usprawiedliwienia. Jednak najważniejsze i najcenniejsze są dla mnie inne tematy: rodzina, bliscy, miłość, zaufanie, lojalność i szczerść. Bez tego nie da się być szczęśliwym, zdrowym, żyć w zgodzie ze sobą i czuć stabilny grunt pod nogami. Nie uznaję relacji toksycznych, a tym bardziej fałszywych, dlatego pielęgnuję bardzo bliskie relacje. Szczerze wierzę w ludzi i daję im całą siebie, to procentuje. Mogę zawsze na nich polegać. Dzięki temu mogę pisać. Z mojej perspektywy to wszystko jest proste, nie ma tutaj żadnych uniesień, czy mitologii.